Z Maduraju wyruszyliśmy rano, autobusem, po małym zamieszaniu spowodowanym zaginięciem paszportu jednego z uczestników wyprawy. Na szczęście dokument, cenniejszy od wypchanego pieniędzmi portfela, znalazł się w saszecie innego wyprawowicza. więc ruszyliśmy w drogę do Thanjore. albo inaczej Thanjavur.

To niewielkie miasteczko w stanie Tamilnadu, znane z jedenastowiecznej drawidyjskiej świątyni Brihadiśwary. Kompleks robi wielkie wrażenie wielkością, zdobieniami, klimatem zadumy i spokojem, które tam jakimś cudem – mimo tłumów zwiedzających – ciągle udaje się utrzymać. Kiedy tam dotarliśmy było południe. Że było ciepło to mało powiedziane. Żar lał się z nieba, więc z butelkami wody w rękach i czapkami i chustkami na czerepach ruszyliśmy zwiedzać. Świątyń nie osłaniają żadne drzewa, więc łatwo sobie wyobrazić jak gorące były kamienne posadzki w kompleksie… a przypomnę – każdy wchodząc do świątyni musi zostawić buty i wejść do niej boso. Indusi co prawda gdzieniegdzie porozkładali słomiane, szorstkie jak szczotki ryżowe maty, ale tylko gdzieniegdzie, więc żeby nie poparzyć sobie stóp, biegaliśmy ile bogowie dali w nogach od jednego zacienionego miejsca do drugiego. Nie było łatwo. Podeszwy piekły. Na każdym chłodniejszym kamolu zbierały się po dwie – trzy osoby, zbierając siły, by pobiec dalej. Ale pocierpieć było warto.

Z Thanjore, przez Thiruchchirappalli – miasto świątynię – największą czynną w świecie, ruszyliśmy w kierunku Tiruvannamalai. Po Thiruchchirappalli, a dokładniej po ŚWIĄTYNI, która nie jest zabytkiem klasy 0 i na przykład ostatnią gopurę wzniesiono w latach 80tych XX wieku, pochodziliśmy z godzinę, może trochę ponad…

Oglądaliśmy, podziwialiśmy i przy okazji załatwiliśmy kilka spraw związanych z naszymi podstawowymi potrzebami, czyli skorzystaliśmy z toalety, kupiliśmy owoce, wodę i najlepszą na świecie (tj. podczas tej wyprawy) samosę. Kumar kupił 10 sztuk i pożarł wszystkie, ja kupiłam 5 i żałowałam, że nie więcej. To było PYSZNE. Paskudne natomiast było coś, co kupiliśmy z Szefem a co było owocem przypominającym nasz agrest, tylko taki agrest – mutant. Duży. I gorzko-kwaśny. W mieście – świątyni życie toczyło się swoim rytmem jak w każdym innym mieście.

Do Tiruvannamalai dojechaliśmy późno i w strugach deszczu. Oczywiście nie było mowy o zwiedzaniu, trzeba było raczej znaleźć szybko hotel i swoje odespać, tymczasem… nie było możliwości wjazdu do miasta z powodu święta z okazji pełni księżyca, na które zjechały tłumy pielgrzymów, no nie było miejsc w hotelach poza miastem. Nasi kierowcy niezmordowanie krążyli od hotelu do hostelu i wypytywali i prosili, aż się udało. Pokoi było teoretycznie za mało, bo raptem 5, ale w praktyce zmieściliśmy się w nich wszyscy, czyli 29 osób z wielkimi plecakami. Dziewięciu naszych chłopaków spało w jednym, nawet nie pokoju a w czymś co może kiedyś nim będzie, na materacach przytarganych przez obsługę, a dziewczyny w trzech. Opieka miała najwygodniej, bo zajęliśmy dwie jedynki. Nie mogę powiedzieć, że następnego dnia byliśmy jak młodzi bogowie… poprzedniego dnia nie zjedliśmy kolacji, w pokojach było duszno i parno, do tego stopnia, że o 4tej obudziłam się mokra jak po kąpieli. Tak byłam spocona. Z burczącymi brzuchami poszliśmy na śniadanie – masala dosa była wyśmienita…tyle powiem i żałujcie, że nie jedliście. Ale świątynia w nas rozczarowała.

Tiruvannamalai leży u stóp góry Arunachala i uchodzi za jedno z pięciu świętych miejsc sziwaizmu, z których każde poświęcone jest innemu żywiołowi. Ta świątynia, którą chcieliśmy zobaczyć związana jest z Agni, czyli ogniem, dlatego tak ważne jest w tym miejscu wszystko, co z nim związane w tym światło. Dlatego pełnia księżyca ściągnęła do miasta tłumy. Świątynia nas rozczarowała, bo nie mogliśmy jej swobodnie zwiedzić. Nam – niewiernym nie wolno wejść wszędzie, więc musieliśmy się zadowolić oglądaniem jej z zewnątrz i zza nieestetycznych metalowych, zardzewiałych zasieków. A zatem bez żalu ruszyliśmy dalej – do Puducherry (Pondicherry) położonego na Wybrzeżu Koromandelskim.

Pondicherry poznałam już wcześniej, będąc w Indiach w styczniu. I oględnie rzecz ujmując, nie jest to moje ulubione indyjskie miasto, co dziwi mnie samą, bo ciągle widać w nim wpływy francuskie, a lubię Francję i jej kulturę.

Pondicherry albo Puducherry to mieścina, założona w XVII wieku przez Francuzów, licząca niewiele ponad 200 tysięcy mieszkańców, kiedyś część Indii Francuskich, co ciągle widać chociażby w nazwach ulic, które tu są RUE Jakaś Tam i RUE Jakaś Tam. Można tu też znaleźć policjantów w kepi i prawie prawdziwie francuską boulangerie a w niej zjeść rogala i napić się kawy. Czy ja akurat tego szukam, jadąc do Indii? No właśnie… nie bardzo. Ale ile osób w grupie, tyle ocen tego miasta. Młodym chyba się podobało. Mogli wreszcie zjeść coś, czego smak znali z Europy, więc zajadali się francuskimi wypiekami, sandwichami, croissantami, quichem, popijali kawkę z mleczkiem… Niewiele tam jest do zwiedzania, ot sama kolonialna zabudowa miasta i kilka kościołów robią wrażenie i tyle. W każdym razie, ja bez żalu opuściłam Puduczerry, tym bardziej że przed nami był pobyt w moim ulubionym małym i trochę dla niektórych może zapyziałym nadmorskim Mamallapuram.

Mamallapuram lub Mahabalipuram nad Zatoką Bengalską, w którym znajdują się świątynie i zabytki rzeźbiarskie z czasów dynastii Pallawów z VII i VIII wieku, takie jak mandapa Kryszny czy pięć świątyń typu ratha, wykutych z jednego bloku skalnego, które są de facto świątyniami sziwaickimi. Jednak najbardziej znanym obiektem w Mamallapuram jest płaskorzeźba Gangawatarana, tj. Zesłanie (bądź Narodziny) Gangesu. To dzieło o wymiarach 10 m wysokości na 30 długości przedstawia scenę sprowadzenia, wskutek błagań i modlitw Ardżuny, rzeki Ganges na wysuszoną słońcem ziemię, a żeby zobaczyć te wszystkie cuda wypożyczyliśmy rowery i wyruszyliśmy na wycieczkę.

Jest co oglądać, a w dodatku w Mamallapuram można odpocząć od zgiełku wielkich miast, posiedzieć na plaży i popatrzeć na zarzucających i wyciągających z wody sieci rybaków, usiąść w jednej z kilkudziesięciu restauracyjek i zjeść świeżutką rybę czy michę owoców morza…żyć nie umierać. Od Mamallapuram mamy z Rysiem nowe marzenie – chcemy na stare lata (czyli już niedługo) osiąść właśnie tam i prowadzić knajpę. On będzie jej właścicielem a ja mogę „robić za kelnera”… Młodzież i my w pełni wykorzystaliśmy czas pobytu nad morzem. Młodzi, ku zgrozie starszyzny, próbowali nawet wchodzić do wody powyżej kostek i kolan, za co zostali zrugani, bo z oceanem nie ma żartów. Tam też mieliśmy czas, żeby wypisać pocztówki adresowane do rodzin, znajomych i znajomych – nauczycieli, buszowaliśmy w sklepach z pamiątkami, no i jedliśmy wspomniane morskie pyszności. Żal było opuszczać uroczą mieścinę, tym bardziej, że przed nami był perspektywa spędzenia 30 (tak, tak – NOC, DZIEŃ I NOC) godzin w pociągu, który miał nas zawieźć w stronę Kolkaty

(Kalkuty).